



Maciej Łukasz Gołębiowski

Opera Narodowa

– wspomnienie minionych czasów

Opera Narodowa w Warszawie to nie tylko największa scena operowa świata, to także najdroższa instytucja kulturalna w kraju, dysponująca budżetem liczonym w milionach złotych. Za publiczne pieniądze realizuje się premiery i tworzy repertuar dla wszystkich miłośników opery. Pytanie, czy dziś ten repertuar naprawdę jest dla wszystkich?

Niedawno, robiąc porządki w piwnicy, natknąłem się na zbiór programów operowych, które skrzętnie zbierałem jako nieopierzony meloman, chodząc regularnie do Teatru Wielkiego praktycznie na wszystko, co wtedy grano. Swoje pierwsze w życiu przedstawienie – „Cyrulika sewilskiego” – zobaczyłem 14 marca 1993 roku. W ciągu kilku lat obejrzałem potem ponad dwadzieścia oper, baletów i musicali, zrealizowanych na narodowej scenie. Były to czasy rządów Sławomira Pietrasa, zanim jeszcze trafił do Poznania. Nie wszystko pamiętam dokładnie, jakby nie patrzeć to już niemal 20 lat, ale ogólny wniosek wydaje się jasny – wtedy było ciekawiej. Nawet jeśli wystawienia nie zaskakiwały nowatorstwem, orkiestra grała mocno średnio, a śpiewacy narzekali nie tylko na warunki płacowe i akustyczne, ale też na niezwykle zbieg okoliczności, który tylko w tym miejscu nie pozwalał im wydobyć z siebie najwyższych możliwości wokalnych. Pomijam jednak kwestie jakości produkcji artystycznych. Skoncentruję się na repertuarze.

Dziś w Operze Narodowej zrobiło się bardzo ambitnie. Nie tylko zapraszamy znane zachodnie nazwiska, by realizowały u nas kolejne spektakle, ale dyrekcja wyraźnie dąży, by pokazywać w Warszawie opery dalekie od kanonu repertuarowego. Jest to z pewnością ukłon w stronę muzykologów



i osłuchanych melomanów. Co jednak mają począć ci, którzy wołają Verdiego i Pucciniego od Berga, Berliozą, Xenakisa czy Glasza? Jeśli spojrzeć na dzisiejszy repertuar, to znajdziemy w nim ledwie kilka nowych przedstawień wpisujących się w kanon literatury operowej, a i z nich nie wszystkie są udane.

Ciekawą i godną polecenia produkcją jest „Traviata”. Poprzednią jej wersję, w reżyserii Marka Weiss-Grześnińskiego, widziałem 10 grudnia 1993 i 17 grudnia 1994. Nie była tak nowoczesna jak wizje Trelińskiego. Pozostała w konwencji XIX-wiecznych strojów i wnętrza, ale miała inne zalety. Andrzej Hiolski w roli Germonta to niezapomniane spotkanie i postać, która potrafiła przyćmić wielu ówczesnych i dzisiejszych śpiewaków. Niemniej nowa „Traviata” godnie zastępuje tę z czasów Pietrasa. Gorzej z niedawną premierą „Wesela Figara”. Tutaj można mówić o kompletnej porażce. Tym większej, że

opera ta nie widniała na warszawskich afiszach od niepamiętnych czasów i nadzieje na jej udany powrót były duże.

Lista popularnych dzieł w Teatrze Wielkim praktycznie się na tych dwóch pozycjach kończy. Można dodać jeszcze „Straszny dwór” Moniuszki. Jedyną operę, która w ciągu tych dwóch dekad doczekała się kilku inscenizacji. Osobiście widziałem dwie, obie przygotowane przez Marka Weiss-Grześnińskiego. W obu także mogłem słuchać Andrzeja Hiolskiego w roli Miecznika. Partnerowały mu ówczesne gwiazdy TW – Krzysztof Szmyt, Ryszard Morka, Krzysztof Bednarek, Jerzy Ostapiuk i Izabella Kłosińska. Uznając popularność dzieła i jego narodowy charakter, mam jednak spore wątpliwości, czy kilkakrotne wznawianie go było zasadne. Szczególnie w obliczu luk i zaniechań w innym, nie mniej istotnym repertuarze.

W czasach Pietrasa i Wojciechowskiego premiery sypały się jak z kapelusza. W latach 1991-1995 było ich aż 14. „Tosca”, „Salome”, „Faust”, „Parsifal”, „Nabucco”, „Norma”, „Cyganeria”, „Carmen”, „Skrzypek na dachu”, „Krakowiaci i górale”, „Cyrulik sewilski”, „Turandot”, „Halka”, „Straszny dwór”. Innymi słowy, podstawowy zestaw XIX-wiecznych oper, rozszerzony o jeden z najpopularniejszych światowych musicali oraz typowo polską śpiewogrę, w świetnej reżyserii nieodżałowanego Krzysztofa Kolbergera. W późniejszych latach dodano do tego kilka nowych inscenizacji, przygotowanych przez zagranicznych reżyserów, które jednak nie utrzymały się na afiszach zbyt długo. Do dziś z tych lat przetrwały „Nabucco” i „Carmen”. Szkoda, że tylko one.

Łza się w oku kręci, kiedy się patrzy na te wszystkie programy, obsady i bilety, które kosztowały po 40000 złotych, ale było na nie stać nawet niezbyt zamożnych. Ludzie stali w ogonkach po wejściówce, by zobaczyć Toscę rzucającą się w odmętę Tybru z zamku św. Anioła, płonąca na stosie Normę czy rubasznego Tewiego w jego sporach z Bogiem. Dziś w zamian dostajemy kolejne ciężkie dzieła, kompletnie nic nie mówiące przeciętnemu zjadaczowi chleba. Nie ludzę się, że ten tekst coś zmieni. Niech jednak będzie przypomnieniem czasów, które minęły przecież całkiem niedawno. Czasów, gdy opera była szlachetną rozrywką nie tylko dla elit, ale i mas chcących czegoś więcej niż wieczoru w dyskotekce czy na durnej komedii w kinie. Chciałbym, żeby te czasy wróciły w nowej szacie, na miarę dzisiejszych możliwości scenicznych, wokalnych i finansowych teatru. To takie marzenie u progu nowego roku. Czy tylko moje? ■